

„Pelcia, czyli jak żyć, żeby nie odnieść sukcesu” - RECENZJE

1. [Recenzja] Ratujmy pingwiny!

Joanna Szczepkowska przygotowała koncert na dwójkę aktorów i... telefon komórkowy. Spektakl "Pelcia" to spotkanie wegetującej pianistki z młodym karierowiczem, które częściej smuci niż śmieszy.

Fortepian zarekwirowany przez komornika. Ale te palce nie potrzebują klawiszy. Wystarczy, że w ćwiczonej przez lata tempie bębnią po obrusie. I już jest muzyka. Tak **Joanna Szczepkowska** rozpoczyna swój koncert. W ciemnościach, przy odpowiednim nachyleniu sylwetki, z przymrużonymi oczami wirtuozki. Tyle, że zaraz zrobi się jasno, a widzowie zobaczą scenerię zdezelowanego mieszkania w kamienicy. Swoistego więzienia, w którym aktorka i reżyserka spektaklu zamknęła swa bohaterkę. A zamknęła bynajmniej nie dla śmiechu.

Szaleństwo izolacji

Nad spektaklem "**Pelcia**" pani Joanna pracowała w całkiem nowym dla siebie miejscu - krakowskim teatrze **Łaźnia Nowa**, który w listopadzie ubiegłego roku gościł ją podczas **Festiwalu Uczuć Urażonych**. "Transfer" trochę sensacyjny, gdyż poczynaniom Szczepkowskiej od pewnego czasu towarzyszą kontrowersje. Kreowane tak naprawdę na wyrost i często z potrzeby przeciągnięcia aktorki na którąś ze stron ideowej barykady. Fakt, iż "Pelcia" powstawała na deskach teatru, gdzie **Krystian Lupa** szykuje właśnie "reaktywację" dyplomowej sztuki, zapewne rozgrzał niektóre umysły. Trzeba je teraz trochę ostudzić. "**Pelcia**" **nie jest bowiem sztuką przeciwko czemuś lub komuś**. Jest natomiast sztuką o czymś. O zepchnięciu na margines, skąd tylko jeden krok do popadnięcia w szaleństwo.

Bohaterka grana przez Szczepkowską właściwie ową barierę przekracza. Po dawnej sławie pianistki, cudownego dziecka PRL-u, pozostały tylko wspomnienia. **Rozwód pozbawił kobietę wszystkich oszczędności i zmusił do wegetacji w obskórnym mieszkaniu**. Jest samotna, ale nie sama. Przy sobie ma bowiem Pelcię. Leżącą na łóżku w sąsiednim, zamkniętym na klucz pokoju. Pelcia się nie rusza. I nic nie mówi.

Młodość musi się wyszumieć w... ubezpieczeniach

Czy Pelcia to wytwór wyobraźni czy rzeczywiście dosłownie "trup w szafie"? Szczepkowska rozgrywa ów wątek dwuznacznie, wokół niego "montując" puentę całości. Relacje bohaterki z tytułową postacią stanowią jednak tylko tło dla bardziej istotnej warstwy sztuki - **symbolicznej konfrontacji starego z nowym**. Spotkania międzypokoleniowego, które owocuje pasmem nieporozumień, ale też swoistą więzią.

Kiedy do pianistki puka młody, zbłąkany karierowicz, zaczyna się opowieść jakby o drugim rodzaju społecznej marginalizacji. Bo bohaterkę z młodzieńcem wbrew pozorom więcej łączy niż dzieli.

Wrogie nastawienie obojga wobec siebie nie zmienia faktu, iż zostali odstawieni na boczny tor egzystencji. Każde na swoich warunkach.

Przybysz stara się robić dobrą minę do złej gry. **Oferuje ubezpieczenie, chwali się karierą w off-owym zespole, w sekundę potrafi też zaimprovizować akcję pozyskiwania grantu na fundację.** Tyle, że owe rozliczne zajęcia są czymś zastępczym; sprawdzaniem się, dorywczym zarobkiem, szukaniem szansy rozwoju. W rzeczywistości młodzieniec nie ma nic, ani też niczego nie osiągnął. Lecz to może ulec zmianie. O ile tylko pianistka użyczy trochę dawnej sławy pod kątem medialnego występu.

Z telefonem pod ręką

Kto widział "**Gołą babę**", ten wie, że Szczepkowska potrafi rozbawić do łez. "Pelcia" to jednak emocje zupełnie innego rodzaju. Raczej uśmiech niż śmiech. Tak jak w przypadku tworzonej na szybko fundacji ratującej pingwiny. Inicjatywie, którą nie kieruje autentyczna troska ekologiczna, lecz absurdalny zapał organizacyjny. Ratujmy pingwiny! Lećmy na Antarktydę! I rzecz jasna, last but not least, załatwiamy grant od Unii Europejskiej.

Podobne akcenty satyryczne są jeszcze rozsiane w kilku fragmentach "Pelci". Mimo tego, ciężko nie oprzeć się wrażeniu, iż Szczepkowską interesuje mało zabawny wizerunek młodego pokolenia. **Rozedrganego, z trzęsącymi się nogami, łapiącego za wszelkie możliwe okazje, byle do przodu.** Takim neurotykiem autorka uczyniła właśnie postać swego męskiego antagonisty. Mającego ciągle pod ręką "zagłuszacz" wszelkich lęków - telefon komórkowy. Przedłużenie mózgu, . używane praktycznie non stop. Na tyle, iż staje się trzecim (a właściwie czwartym) bohaterem spektaklu.

Między wycofaniem a goryczą

W "Pelci" jest trochę scenicznego przestoju, sytuacyjnych powtórzeń, które spowalniają rytm przedstawienia. Tym razem Szczepkowska stawia aktorsko na bardzo oszczędną i wycofaną grę. **Jej Marta Morska jest istotą kruchą, wewnątrznie zlaną, przesadnie histeryzującą.** Kreacja z tych niepozornych, o których randze decyduje kontekst egzystencjalny postaci a nie wykrzywane widzu w twarz emocje.

Krzyczy natomiast **Jan Jurkowski**. Młody aktor (absolwent krakowskiej PWST) partnerujący Szczepkowskiej na scenie. Udana rola. **Pociągnięta po części pyszałkowatością cynicznego domokrażcy, a po części - goryczą niespełnionego artysty, zmuszonego do uwłaczających chaltur.** Postać tragikomiczna w ciągu groteskowych monologów z telefonem komórkowym, ale tragiczna w ogólnym rozrachunku.

Niemy koncert z początku nie przeistacza się zatem w jakiś wirtuozerski recital. Szczepkowska rozpisła na siebie, Jurkowskiego oraz telefon komórkowy koncert mocno akustyczny. Na rozstrojone postaci, które nic nie mają do stracenia, bo też nic nie mają. Pozostaje żyć przeszłością. Albo ratować pingwiny.

Prapremiera spektaklu "Pelcia" odbyła się 5 marca na deskach teatru Łąźnia Nowa. Kolejne inscenizacje - 6 i 7 marca.

2. Szczepkowska w Łażni Nowej, czyli jak żyć, żeby nie odnieść sukcesu

„Pelcia, czyli jak żyć, żeby nie odnieść sukcesu” w Łażni Nowej bawi, ale i pozostawia gorzki posmak. Nowa sztuka Joanny Szczepkowskiej nie tylko świetnie pokazuje dwa skrajnie odmienne pokolenia, ale i skłania do refleksji nad sławą i... brakiem perspektyw na życie.”

Na samym początku spektaklu, kiedy Joanna Szczepkowska rewelacyjnie naśladuje wirtuozowską grę na fortepianie, wiemy, że grana przez nią bohaterka to postać wybitna. Jednak po zapaleniu świateł okazuje się, że fortepian zastąpił stół, a mieszkanie, w którym się znajduje, czasy świetności ma dawno za sobą. Ona to Marta Morska, 60-letnia pianistka, którą poznajemy zaraz po tym, jak komornik nasłany przez spadkobiercę kamienicy wyniósł jej fortepian. Z początku wydaje się, że kobieta mówi do siebie, po chwili okazuje się jednak, że rozmawia ze starszą współlokatorką z pokoju obok.

Morska to cudowne dziecko PRL-u, "mała Martusia", pieszczoszka ustroju, o której swego czasu mówiła cała Polska. W środku imponującej kariery znika z życia publicznego. Rozwodzi się z mężem, znanym dyrygentem, który nie zostawia jej ani grosza i zamieszkuje ze swoją opiekunką z dzieciństwa - Pelcią, która w czasie wojny ukrywała w piwnicy żydowskiego chłopca i której udało się wyjść żywej z przesłuchania przez gestapo. Czy Pelcia jest wytworem wyobraźni Morskiej, a może postacią z krwi i kości, która leży nieruchomo w pokoju za drzwiami? To w gruncie rzeczy mało istotne i zależy wyłącznie od nas. Prawdziwa czy urojona, Pelcia jest źródłem lęków Morskiej, powodem, dla którego pianistka izoluje się od świata. To właśnie przez jej tłumaczenia (a może dzięki nim) Morska po śmierci rodziców wierzy, że tatuś zamienił się w mieszkającego przy oknie pajęczka, a mamusia w muszkę. To przez Pelcię boi się też wejść do zamkniętej na klucz kuchni, w której - jak twierdzi - powiesił się Anioł Stróż. Ale Pelcia jest jednocześnie jej najbliższą osobą. Nie przeszkadza to jednak Morskiej narzekać na staruszkę, obwiniać ją o to, że nie może wyjść z domu, powtarzając niczym refren słowa: "małpa solona, wywaliła skarpety i leży". Dwie kobiety są niewątpliwie zżyte ze sobą, ale łącząca je więź należy do toksycznych.

Morska ma coś z "Pianistki" z powieści Elfriede Jelinek i filmu Michaela Hanekego. Podobnie jak Erika od matki, Morska jest od Pelci zależna. Nasuwa mi się jeszcze jedna analogia - z dokumentem braci Alberta i Davida Maysles "Szare ogrody", w którym oglądaliśmy dwie kobiety, krewne Jackie Kennedy. Noszące to samo imię i nazwisko matka z córką (Edith Bouvier Beale - mała i duża Edie) mimo arystokratycznego pochodzenia mieszkały przez kilkadziesiąt lat w zrujnowanej posiadłości bez prądu, bieżącej wody, w stertach śmieci. Mimo to kobiety utrzymywały pozory dawnego życia, umilając sobie czas śpiewaniem, tańcem, wspomnieniami o czasach, kiedy były bogate, oraz marzeniami o karierze w show-biznesie. Morska jednak nie marzy o karierze ani nie tęskni za sławą, którą odrzuciła.

Kiedy na jej drodze niespodziewanie staje grający we własnym zespole 25-letni Piotrek, pianistka ukrywa swoje nazwisko i daje się wciągnąć nadpobudliwemu chłopakowi w rozmowę, która zamienia się w popisowy koncert na dwa pokolenia. Szczepkowska to genialna obserwatorka,

wyłamuje zarówno autentyczny język i maniery młodych, jak i przyzwyczajenia i powiedzonka starszego pokolenia. W roli Piotrka występuje debiutujący absolwent PWST w Krakowie Jan Jurkowski, który świetnie stworzył postać szukającego pracy chłopaka, zakłamującego swoją sytuację w nadziei na sukces. Piotrek nie umie słuchać, tkwi nosem w komórce i myśli tylko, jak przekuć w sukces spotkanie ze zdziwaczalą i nieco wyniosłą Morską. Mimo to pianistka wciąga jego i siebie w gorącą, pełną burzliwych zwrotów akcji rozmowę, której finału nie zdradzę. Na "Pelcie" warto iść dla żywych dialogów i świetnego duetu Szczepkowska-Jurkowski. A także dla takich smaczków jak Szczepkowska grożąca, że się powiesi, słuchająca muzyki na słuchawkach, mówiąca "gówno psie" czy wołająca błagalnym tonem o jedzenie.

Mateusz Borkowski

<http://krakow.wyborcza.pl/krakow/>

1,35796,17539841,Szczepkowska_w_Lazni_Nowej__czyli_jak_zyc__zeby_nie.html#ixzz3we1JiMSa

3. Pająk, muszka i fortepian

Pelcia, czyli jak żyć, żeby nie odnieść sukcesu" - reż. Joanna Szczepkowska - Teatr Łaźnia Nowa w Krakowie

W staromodnym pokoju rozhuśtany zyrandol kołysze się przy pełnym ekspresji akompaniamencie fortepianu. Brak jednak prawdziwego instrumentu i prawdziwego pianisty - gra tylko „lekkonawiedzona” kobieta koło sześćdziesiątki. Gra z pełnym zaangażowaniem na blacie stołu.

Dama w morskim szlafroku na pierwszy rzut oka wydaje się nieco rozchwiana emocjonalnie oraz zdzieciniała. Po kilku scenach wiemy, że wciąż żyje wspomnieniami swojej kariery muzycznej, jest niezdolna do realnej oceny rzeczywistości i miota się między smętnym życiem, a niemożnością jego zakończenia. Przez zamknięte drzwi droczy się ze swoją opiekunką z dzieciństwa, której nazwiska nigdy nie poznała, a nawet nie pomyślała, że powinna je znać. Pelcia, „osoba głucha, z palcami połamanymi przez Gestapo” jest jedynym elementem rzeczywistości, który trzyma kobietę przy życiu. Marta Morska, cudowne dziecko PRL, „nasza Martusia”, wybitna pianistka wielkiej sławy, żyje we własnym świecie, w którym jej tata po śmierci zamienił się w pajączka, a mama w małą muszkę. Pianistka, której kariera już dawno się zakończyła, nie myśli wcale aby przypomnieć się światu, wrócić do występów, lub choćby zainteresować się sprawą własnego utrzymania, ubezpieczenia czy robienia zakupów. Wieczorami włącza radio, w którym słucha „obciachowego gadania przed snem” na temat skarpetek, chrapania i globalnego ocieplenia. W dzielnicy „zapleśniałej od wojny” nie ma przyjaznych sąsiadów, nie dba o żadne relacje, poza tymi z Pelcią, tatą-pajakiem i mamą-muszką. Raz po raz pali nieistniejącego papierosa i pije wymyśloną wódkę z kieliszka. Ostatecznym ciosem godzącym w świat Marty jest zajęcie przez komornika jej jedyne skarbu – fortepianu, który lata temu nabyła dla niej Pelcia, przeznaczając na niego wszystkie oszczędności.

Niespodziewanie do świata Morskiej wkracza pewien młody człowiek (Jan Jurkowski), którego profesję dość trudno jednoznacznie określić. Jest równocześnie ubezpieczycielem, managerem, pianistą, masażystą i działaczem na rzecz ochrony środowiska. Zmienność i bezwzględność świata zmusza go do „płynności” i elastyczności zawodowej. W jego życiu wszystko jest chwilowe i

zmiennie, co jest zupełnym przeciwieństwem świata kobiety, którą przypadkiem odwiedził. Raz po raz odbiera telefony i dzwoni, nie potrafi skupić całej uwagi na jednej rzeczy dłużej niż pół minuty, działa „wielozadaniowo” choć raczej nieskutecznie. Nie brakuje mu energii i pomysłów, którymi zarzuca swoją rozmówczynię. W pewnym momencie tej osobliwej wizyty ich relacja, choć dziwna, staje się dość bliska. Widać to choćby w scenie, w której obydwójce zaczynają mimowolnie grać jedną ręką na wyobrażonym fortepianie. Po pewnym czasie dowiedzą się wiele o swoich światach, a nawet – wypiją razem po kieliszku nieistniejącej wódki.

Choć pierwsze sceny zapowiadają raczej męczącą sztukę o wspaniałej karierze, która minęła, już po kilku minutach widz zostaje wciągnięty do bardzo specyficznego świata, w którym chętnie pozostaje. Tekst sztuki jest świetnie przemyślany – zaznajamia widza z kolejnymi wspomnieniami, zwyczajami i powiedzonkami bohaterki, by intrygująco żonglować nimi w dalszym przebiegu spektaklu. Warto podkreślić także równowagę proporcji w sztuce: melancholijny nastrój nigdy nie trwa zbyt długo – pointowany jest zabawnym zwrotem akcji. Partie mówione zgrabnie przeplatają się z muzyką, dzięki czemu z niecierpliwością czeka się na kolejne sceny. Scenografia nie jest zaskakująca, jest jednak dokładnie taka, jak potrzeba – uwydatnia tajemniczość zamkniętej kuchni i postaci Pelci. Jest jednocześnie funkcjonalną przestrzenią, jak i obrazem świata, w którym funkcjonuje Morska – zamkniętego i ograniczonego do pewnych osób i wspomnień.

Spektakl Szczepkowskiej błyskotliwie opowiada o zmianach, które zaszły w świecie i o tym, jak człowiek jest od tych zmian zależny. Dwa pokolenia i dwa odmienne charaktery zmierzone z różnymi obliczami świata ścierają się w zabawnej, żywiołowej grze, którą śledzi się z rosnącą sympatią i zaciekawieniem.

Agnieszka Bednarz

Dziennik Teatralny Kraków

<http://www.dziennikteatralny.pl/artykuly/pajak-muszka-i-fortepian.html>